



Połowa Przejęcia Dookoła kotliny Jeleniogorskiej, 19-20.09.2020

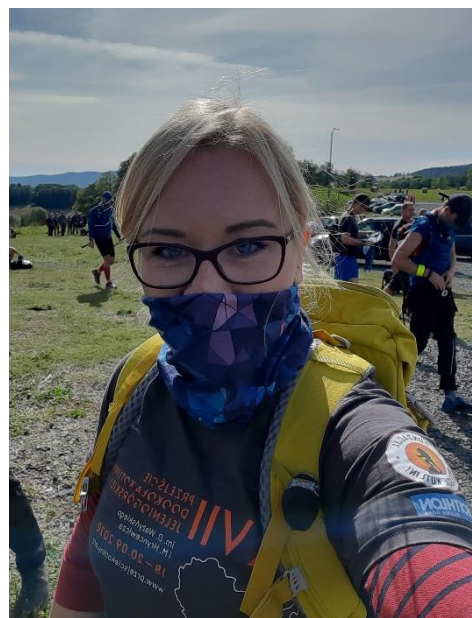
Legendy o **Przejęciu Dookoła Kotliny Jeleniogorskiej im. Daniela Ważyńskiego i Mateusza Hryncewicza** zaczęły do mnie docierać nieco ponad rok temu, na parę miesięcy przed XVII edycją wydarzenia. Słuchałam tych opowieści z otwartymi ustami. O **137 kilometrach** górskich, leśnych i łąkowych szlaków. O godzinach składających się na dni i noce walki z palącym słońcem, zacinającym deszczem, otarciami, odciskami i odparzeniami, a przede wszystkim z własną głową.

Rok temu byłam jedynie kibicem Przejęciowiczów, i to takim całkowicie biernym. Czekałam na smsy od przyjaciółki, informującej mnie o dotarciu do kolejnych punktów kontrolnych. Czy już wtedy wiedziałam, że stanę na starcie kolejnego Przejęcia? Zdecydowanie nie! Jednak biorąc pod uwagę motto, którym kieruję się przy wyborze sportowych wyzwań – „bo kto mi zabroni!” – pozostało tylko dokonać wyboru między całym Przejęciem, a jego połową. Chociaż serce podpowiadało całość (przecież zawsze można zejść z trasy), rozum upierał się przy połowie (nie po to startuję, żeby zejść z trasy!). Wygrał rozum.

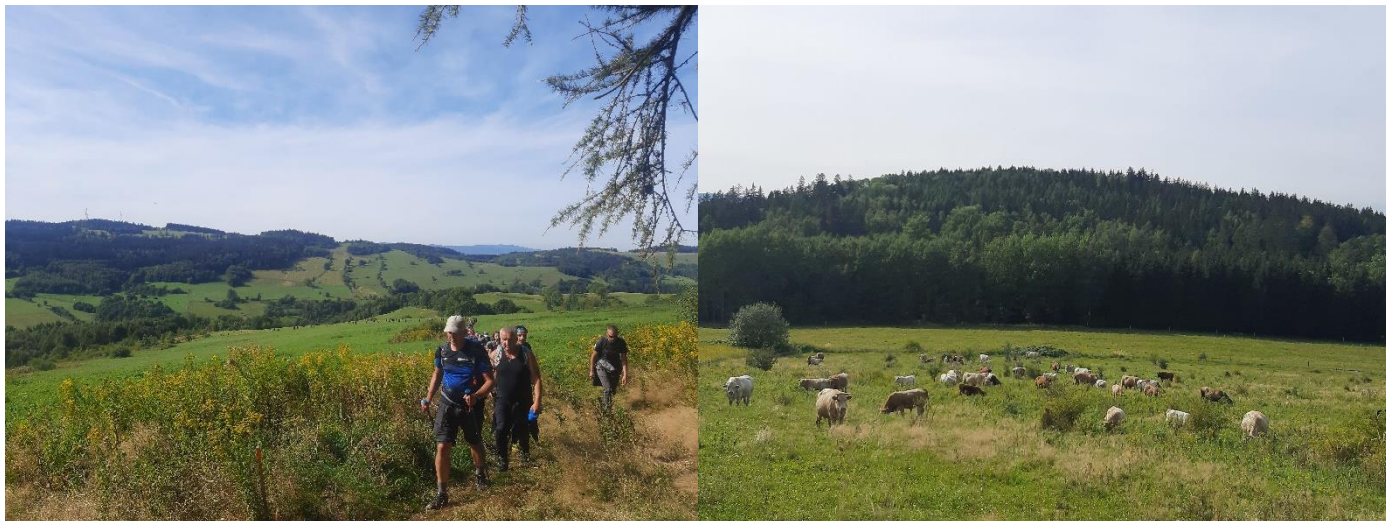
Połowa Przejęcia Dookoła Kotliny Jeleniogorskiej. Prosta matematyka wskazuje na jakieś 68 km wędrówki. W porządku, chłodna analiza faktów: mam za sobą bieg na 50 km w Izerach, dałam radę trasie Maratonu Karkonoskiego na podobnym dystansie... Dodatkowe 18 km marszu wydaje się być w zasięgu! To nie może być przecież AŻ TAK trudne.

Tak więc w sobotnie wrześniowe przedpołudnie stanęłam na starcie Połowy Przejęcia, ulokowanym na Łysej Górze. Autokar dowoził kolejnych piechurów, a ja rozglądałam się czujnie wokół. Młodszy, starsi, ci startujący z grupą znajomych, jak i samotne wilki. Wędrować będą z dużymi plecakami i ekwipunkiem na każdą ewentualność, ale są też minimaliści, ze skromnym plecakiem biegowym. Sama plasowałam się wśród tych młodszych, wciąż K-20, i raczej średnich gabarytów bagażem. Nie brałam karimaty czy ubrań na zmianę, ale jednak drobiazgi zajęły mi trochę miejsca. Obowiązkowa kurtka na deszcz i nocny chłód, skarpetki na zmianę, Sudocrem, który według większości opinii ma niemal magiczne właściwości, zapas picia i trochę jedzenia.

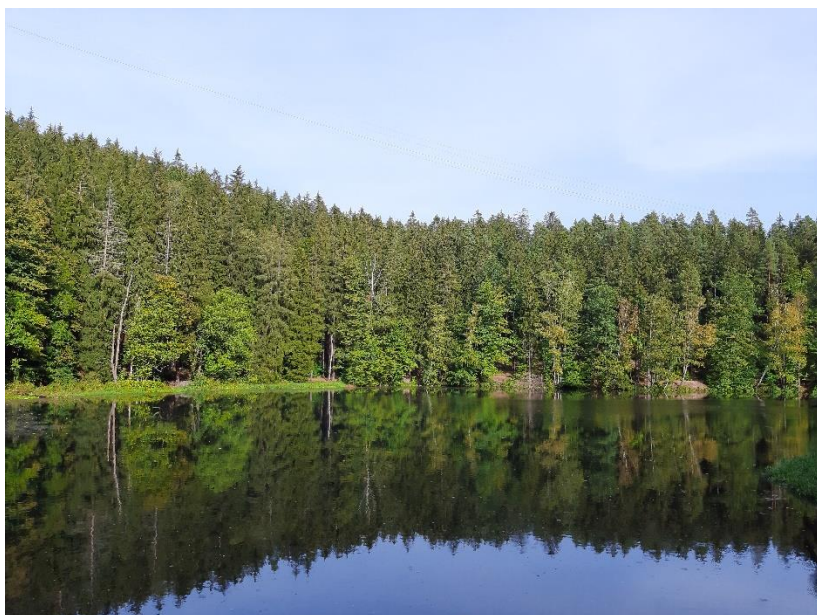
W tym roku wyjątkowo, bo pod przymusem obostrzeń sanitarnych, a więc w kilku turach i z twarzami szczelnie zasłoniętymi buffami i maseczkami, grupa Przejęciowiczów ruszyła na szlak. Kije w dłoń, mapa łatwo dostępna, zatknięta pod podszewkę plecaka, ruszam i ja! Lubiący wyzwania, średniej rangi kanapowiec.



Początek szaleńczy. Zaczynając na **Łysej Górze**, chciałam jak najszybciej pokonać kilometry dzielące mnie do Okola, a stamtąd na **Górze Szybowcową**. Moja Przejściowa Motywatorka jak co roku pokonywała całą trasę, oczywistym więc było, że chcę ją dogonić i iść dalej razem. Żwawym krokiem dotarłam na szczyt i zrozumiałam skąd ta nazwa. Oprócz Przejściowiczów drzemiących pod foliami NRC i piknikujących dla nabrania sił, na Szybowcowej roiło się od... szybowników i paralotniarzy! Niby to oczywiste, a jednak robi wrażenie. Ale do rzeczy. Szybkie obejście szczytu i znalazłam znajome nogi wygrzewające się na słońcu. Uff, teraz będę szła w tandemie. A tak naprawdę stanę się częścią wędrującego trio, bo jak się okazuje, Przejście sprzyja nawiązywaniu nowych znajomości!



Podczepiłam się pod zaprawionych wędrowców. Dzięki nim nie musiałam spoglądać na mapę, bo oni dobrze wiedzieli gdzie idą i na którym kilometrze jesteśmy. Zresztą praktycznie zawsze w zasięgu wzroku był ktoś z numerem startowym, więc nie dało się zgubić. I tak krocząc noga za nogą, rozmawiając na najróżniejsze tematy, mijały kolejne kilometry. Przez **Jeżów Sudecki** i sklepy spożywcze dla uzupełnienia zapasów coli, leśne chaszczki w pobliżu Góry Gapy, aż na **Pertę Zachodu**.



Krótki postój, a właściwie posiedzenie, i lecimy dalej. W kierunku Goduszyna. Niby to może z 30 km od startu, nawet maratonu jeszcze nie ma, a wydaje się jak podróż dookoła świata... Coś czuję, że to będzie zupełnie inne doświadczenie. Na punkcie kontrolnym w **Goduszynie** wolontariusze częstują gorącą herbatą, tak pyszną i rozgrzewającą, że aż mam wyrzuty sumienia, jak na co dzień nie doceniam herbaty. Zegarek wskazuje godzinę 19, mapa informuje o setnym kilometrze Przejścia, a wokół słychać szepty o Komorzycy. Tej **Komorzycy**, o której czytałam na forach, że tak naprawdę nikt nie zna właściwej drogi, każdy przechodzi ją inaczej, niejedną się zgubił i nadrobił drogi... Kamień z serca, że nie muszę się z nią mierzyć sama. Z punktu kontrolnego wyrusza większa grupa, tak będzie różnie.

Przy poszarzałym już niebie udaje nam się szybko przejść przez Komorzycę i ze zmierzchem zameldować się w odległym o jedyne 4 km od poprzedniego, punkcie kontrolnym w. Tam już w ruch poszły czołówki. Ponownie krótkie posiedzenie, zmiana skarpetek, ruszamy dalej przez Zimną Przełęcz i Bobrowe skały. Trio wciąż silne, choć stopy nieco obolałe. Ale mi aż nie przystoi marudzić! Co mają powiedzieć moi towarzysze, którzy idą od wczoraj? Ta myśl sprawia, że zaciskam zęby i idę dalej.



Odzywamy się do siebie coraz mniej, po strumieniu światła wiemy, że każdy dalej idzie, czasami tylko się obracamy w swoją stronę rzucając krótkie, ale konkretne zapytanie czy wszystko OK. I tak przemierzamy pola, lasy, ścieżki. Wychodząc z lasu wiemy, że do kolejnego punktu w **Górzyńcu** już niedaleko. Gdy tam docieramy, zastajemy może leżących na poboczu ciał i wietrzących się stóp. Ponieważ wolontariusze oferowali gorącą herbatę i do tego drożdżówkę, miejsce stało się zdecydowanie popularną lokacją na dogorywanie i odpoczynek. Sama także uwalniam stopy z butów, smaruję Sudocremem, zmieniam skarpetki. Choć nie mam odcisków ani otarć, stopy już bołą. Jednak wędrówka jest cięższa od biegu. W mojej głowie zaczyna kiełkować myśl o zejściu z trasy. Przez kolejne kilometry biję się z myślami. Przede mną podejście na Zakręt Śmierci, stamtąd na Wysoki Kamień i droga przez Izery. Izery, które są przepiękne, ale w środku nocy wydają się być niekończącą pustką, z której nie będzie ucieczki... Po kilkukilometrowym podejściu w końcu migoczą światła piechurów, którzy zrobili sobie postój przy **Zakręcie Śmierci**. Siadam na pieńku i walczę. Nie tyle z bolącymi stopami i zmęczonymi plecami, ale z głową i strachem. Strachem przed czekającą mnie kilkugodzinną wędrówką oraz tylko i aż 25 km przede mną. Jest północ. Wiem, że na mecie mogłabym być najwcześniej ok. 7 rano... I wtedy podjeżdża bus organizatorów, aby zabrać innego uczestnika. To przeważa szalę. Podbiegam do busa, szybkim smsem do organizatora melduję, że schodzę z trasy i pakuję się na tylne siedzenie busa. Mija kilka minut i jestem już na mecie w Szklarskiej Porębie. Po kilku godzinach odpoczynku wybiegam po porzuconych przeze mnie towarzyszy, aby wraz z nimi zejść z Wodospadu Kamieńczyka i ponownie pojawić się przy **dolnej stacji wyciągu na Szrenicę**.



~ *** ~

Czy żałuję, że tak zakończyła się moja przygoda? Nie do końca. Wiem, że na tamten moment podjęłam mądrą i odpowiedzialną decyzję. Zeszłam z trasy w bezpiecznym miejscu, nie testowałam swoich sił fizycznych i mentalnych do granic możliwości. Nie doceniłam Przejścia, nie doceniłam marszu. Kalkulowałam kilometry w odniesieniu do imprez biegowych. Jednak wielogodzinna wędrówka z wypakowanym plecakiem to zupełnie inny rodzaj wysiłku niż bieg „na lekko”. Cieszę się, że wystartowałam, poznałam smak Przejścia Dookoła Kotliny Jeleniogórskiej. Widziałam metę, choć z innej perspektywy niż oczekiwałam. Poznałam ciekawych ludzi, którzy rok w rok mierzą się z najróżniejszymi przeciwnościami, aby 12 miesięcy później ponownie stanąć na starcie, uhonorować Daniela Ważyńskiego i Mateusza Hryniewiczza minutą ciszy i ruszyć ich śladem.

Choć pokonałam tylko ułamek trasy, utwierdziłam się w przekonaniu, że chcę kiedyś pokonać całość. Pokonać 137 kilometrów w memoriale na cześć dwóch ratowników górskich, w głowach których ten pomysł zakiełkował 16 lat temu.